

W i e s

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III

Łódź, 4 sierpnia 1946 r.

Nr 30 (58)

Adam Polańczyk

OSTATNIA SAMOSIERRA

Przez długie tygodnie a nawet miesiące zagadnienie powstania warszawskiego nie schodziło ze szpalt czasopism. Toczyła się na ten temat dyskusja bardzo obfita ilościowo i bardzo zróżnicowana tematycznie. Do dyskusji tej nie będziemy dziś wracać. Nie będziemy też formułować naszych opinii o powstaniu ani zastanawiać się nad jego znaczeniem i sensem.

Spójrzmy na zagadnienie od innej strony. Żaden doniosły fakt historyczny nie pozostaje bez następstw. Każdy powoduje jakieś przesunięcia w układzie istniejących stosunków, każdy rzuca nowy promień światła na dzieje sobie współczesne i nawet późniejsze, wymaga przebudowy perspektyw w naszym patrzeniu na zdarzenia historyczne danego okresu.

Nie budujmy syntez, nie starajmy się dawać wyjaśnień ostatecznych, bo na to jeszcze za wcześnie. Poprzestańmy na uwagach oświetlających zagadnienie z punktu widzenia dnia dzisiejszego.

„AUSROTTEN“

A więc przede wszystkim: powstanie na tle odwiecznego konfliktu Polska—Niemcy. Powstanie było naszą drugą po wrześniu 1939 r. rozgrywką militarną z Niemcami. Raz jeszcze okazało się, że, aby uniknąć zniszczeń wojennych i okupacji naszego terytorium, musimy mieć zapewnioną bezpośrednią pomoc sprzymierzeńców. Olbrzymia bowiem przewaga ilościowa i materiałowa armii niemieckiej czyni zupełnie nieprawdopodobną dłuższą i skuteczną obronę prowadzoną własnymi tylko siłami.

Powstanie warszawskie odsłoniło ostatecznie utajone cele polityki niemieckiej w stosunku do nas. Tym razem Niemcy zdezasymulowali się tak, jak nigdy dotąd. Grabież naszych bogactw narodowych, zniszczenie ośrodków kulturalnych i wyniszczenie biologiczne narodu polskiego — oto rzeczywistość, jaka wychyliła się spoza frazesów o „nowym porządku”, „solidarności europejskiej” itp. Tej niemieckiej wrogości wobec nas i tej zachłanności na ziemi słowiańskiej nie rozładuje ani otwarcie dla Niemców możliwości emigracji do innych krajów ani nawet (bardzo zresztą nieprawdopodobne) otrzymanie własnych kolonii. Na naszej zachodniej granicy wróg czyha stale, czekając tylko na dogodną okazję, by znów zaryczeć: „Siegreich werden wir Polen schlagen!”

Stary Bismarck zamknął program niemieckiej polityki wobec nas w jednym, jedynym słówku: „Ausrotten” (wytępić).

POLSKA SOLIDARNOŚĆ

Stawiano powstaniu wiele zarzutów, ale nawet najbardziej krytycznie usposobieni do niego autorowie nie mogą zaprzeczyć temu, że powstanie było przykładem solidarnego zrywu całego społeczeństwa warszawskiego do walki z okupantem. I gdyby miało ono szanse ogarnąć cały kraj, sytuacja wszędzie wyglądałaby jednakowo. Różnice światopoglądowe, urazy i uprzedzenia osobiste i grupowe zeszły na drugi plan wobec konieczności walki z wrogiem. Cóż z tej solidarności pozostało dzisiaj?

Czy zawsze ma się powtarzać odwieczna historia, że Polacy potrafia się jednoczyć tylko wobec śmiertelnego niebezpieczeństwa, by — skoro tylko ono minie — na nowo podejmować dawne kłótnie i spory? Oczywiście, trudno wymagać, by normalne społeczeństwo zmieniło się w trzódkę jaganią, ale powinna istnieć jakaś rozsądna

granica dla wszelkich sporów partyjnych, klasowych, światopoglądowych, granica wyznaczona interesem narodu jako całość. Anglia jest u nas wciąż jeszcze w modzie, ale nie uczymy się z polityki angielskiej tego co najważniejsze: owej pełnej jedno-myślności zwalczających się zazwyczaj gwałtownie socjalistów i konserwatystów, jeśli w grę wchodzi interes Imperium.

„MIERZ SIŁĘ NA ZAMIARY“

Powstanie warszawskie było powstaniem bardzo polskim. Było ambitnym „postawieniem się” w myśl hasła „z kijami na armaty”, bo przecież „słuszna sprawa zawsze zwycięża”. A przecież na parę lat przed tym powstaniem w Hiszpanii padła sprawa jak najbardziej słuszna, a padła

dlatego właśnie, że zbyt mało posiadała czołgów i samolotów na swoją obronę.

Ideal rycerski nie skończył u nas swego żywota z likwidacją przewagi stanu ziemiańskiego. Okoliczność, że i mieszczaństwo nasze żyło spadkiem kultury szlacheckiej, że i nasza inteligencja, nawet najradykałniejsza, albo sama pochodziła ze szlachty, albo co najmniej żyła w kręgu kulturalnym wytworzonym przez tę warstwę, okoliczność ta sprawiła, że ideał rycerski przetrwał nasz okres mieszczański i przesiąkł nawet do ideologii proletariatu jako kult rewolucyjnych bohaterów (utrwalili ten kult pisarze niepośledniej miary, jak np. Żeromski, Strug, Daniłowski, Broniewski). I rola tego ideału w życiu niemal całego narodu (jedynie chłopstwo

jest nieco mniej „bohaterkie”), w dużym stopniu wyjaśnia ową solidarność polską na polu walki, w obliczu groźnego niebezpieczeństwa.

Nie ma zaś sytuacji historycznej, która usprawiedliwiałaby postawienie na jedną kartę bytu całego narodu. Trwonienie sił narodowych na walkę bez szans zwycięstwa jest zbrodnią. Musimy raz na zawsze wytłumaczyć sobie, że skończył się bezprowrotnie ów okres historii, kiedy „gdzie to tylko nie było trzeba, wszędzie się polski husarz pchał” (Boy-Żeleński), że wolno nam umieścić Zawiszę Czarnego na najwyższym nawet cokole pomnikowym, jaki znajduje się w Polsce, ale nie wolno stawiać go za ideał współczesnej młodzieży polskiej, że nie ma już sensu roztkliwiać się nad naiwnym frazesem „za waszą i naszą wolność”, bo praktykowaniem tego hasła kłębiliśmy zawsze bat na naszą wyłączną skórę.

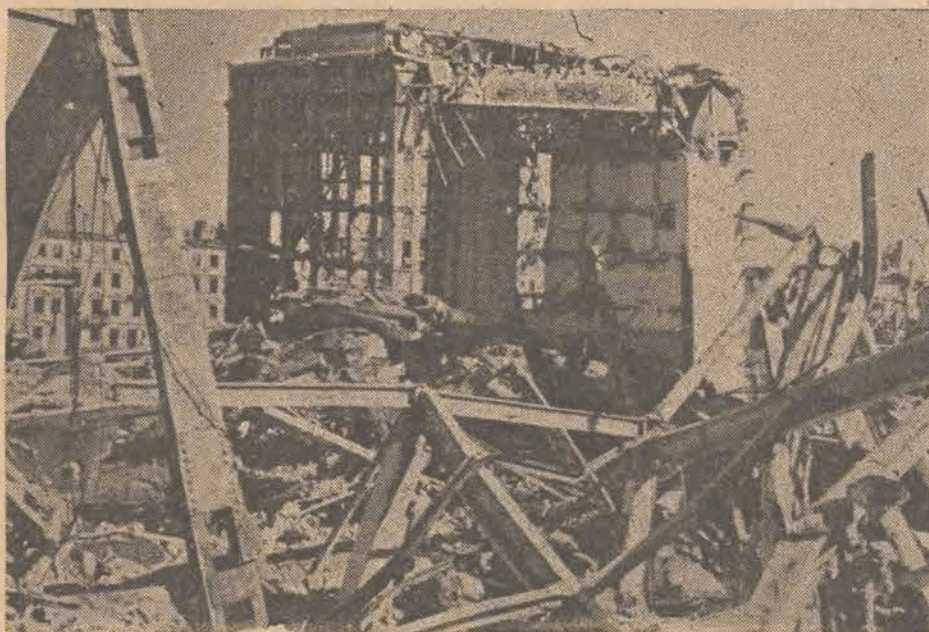
Powstanie warszawskie wywołało jeszcze raz na powierzchnię ziemi upiora naszej rycerskiej przeszłości, widmo błędnego rycerza spod Warny, Wiednia, z barykad wszystkich rewolucji europejskich 19-go wieku, gdzie niepotrzebnie płynęła polska krew za cudze sprawy. Efektowny gest, brawura czynu, piękny, patetyczny frazes — oto to, co zawsze jeszcze zdolne jest prowadzić polską psychikę na bezdroża. A czas, żebyśmy się zaczęli uczyć historii. Może wtedy wyjaśniłoby się nam, że więcej zrobił dla Francji spryciarz Talleyrand niż „bóg wojny” — Napoleon. I że kiedy chodzi o interes narodu, zdrowy rozsądek i zręczność taktyczna więcej są warte od naiwnego choć efektownego bohaterstwa.

INA PRZEŁĘCZY EPOK

Okres bohaterki w naszej historii mtnął i już chyba nie powróci. Powstanie warszawskie zamknęło go ostatecznym „amen”. Nadchodzi czas demokratycznego budownictwa. Obóz rządowy musi przy tej okazji zrobić rachunek sumienia, czy uczynił wszystko, by skupić całe społeczeństwo koło dzieła odbudowy. Rocznicą powstania warszawskiego daje dobrą sposobność do takich rozważań. Dwa lata mija od wybuchu powstania. Dostyc już czasu przeszło, by zamknąć stare rachunki i wobec ruin stolicy, wobec olbrzymiego cmentarzyska 300.000 ofiar niemieckiego bestialstwa mówić przede wszystkim o tym, co nas łączy, a nie o tym, co nas dzieli, by dyskusję z zagadnień przeszłości przenieść na zagadnienia dnia dzisiejszego i jutra.

Jesteśmy pokoleniem z przełęczą, pokoleniem z pogranicza dwu epok. Sytuacja nasza jest wyjątkowo trudna, bo ciąży na nas balast ideologiczny odziedziczony po przeszłości, podczas gdy teraźniejszość stawia nam zadania nowe, wymagające nowych metod myślenia i działania. W tej sytuacji kwestia jedności narodowej staje się czymś daleko bardziej zasadniczym niż kwestia utrwalenia się takiego czy innego reżimu politycznego. Reżimy się zmieniają, naród trwa. Żyjąc w okresie budowania fundamentów nowej państwowości nie możemy przywiązywać wagi zasadniczej do sporów teoretycznych o „zasady pierwsze”. Odbudowa gospodarcza, normalizacja warunków życiowych społeczeństwa, zapewnienie stałego wzrostu oświaty — oto zagadnienia, koło których powinna się skoncentrować nasza uwaga.

Rocznicę wielkich triumfów i klęsk narodowych powinny być zawsze traktowane (Dalszy ciąg na str. 2-iej)



Warszawa po powstaniu

Fot. Film Polski

Stefan Stodolny

Dyskusja: wieś — miasto — regionalizm VIII *)

Warszawa w oczach anty-urbanisty

czyli przeczekiwanie na manowcach kapitalizmu

DO REDAKCJI

Zanim padnie ostatnie słowo w dyskusji „Wieś, miasto, regionalizm” proszę Was o umożliwienie mi porozumienia się z tymi, którzy w prowadzonej na łamach Waszego pisma polemice wielokrotnie wymienili moje nazwisko. Wszyscy oni spaczyli nieco sens moich anty-urbanistycznych wywodów a to na skutek nieznamości środowiska z jakiego się wywodzę i w którego imieniu notuję jego opinię, a także na skutek zastosowania zbyt wielu uproszczeń. By znaleźć wspólny język w dyskusji przedstawiam się najpierw.

KIM NIE JESTEM

Mimo, że na kształtowaniu się moich pojęć zaciążyła sporo indywidualność Polaka i dyktowana pragnieniem obrony przed zniwelowaniem przez reżim przedwojenny chęć wyodrębnienia mego środowiska, chęć uczynienia z chłopskości odrębnego świata, to jednak: ani mi tęskno do bóznicy światowida, ani też nie zamierzam na gruzach miast usadawiać chłopskich, samych sobie sadzb.

Moje anty-urbanistyczne wystąpienia, ponawiane przy każdej okazji mają zupełnie inną genezę od wystąpień tak mi bliskich ludzi jak Józwiak. Na moich wystąpieniach ciąży nie tyle subiektywność teorii co osobista obserwacja... Nie widzę dodatnich wpływów miasta na wieś i ponawiam swe oskarżenie, a oto powody tego.

MIASTO, KTÓRE ZNALEM

To Warszawa dziesięć lat temu. Z tego, co w niej poznałem biorę jeden odcinek życia, według mnie i mego środowiska najważniejszy, a więc rodzina i życie rodzinne... Ulica Cicha w śródmieściu, kamienica nr. 8. W suterynie podwórka mieszka od wielu lat rodzina. Czyja, czy też jak ją nazwać, nie wiem, bo każdy z jej członków nosi inne nazwisko... Najstarsza w niej osoba starszaka 70-cio letnia ma córkę „po pierwszym mężu” i syna starszego nieco... Syn opuścił już suterynę, dla zamieszkania w innej, a pozostała w niej córka, właścicielka gospodni tego „pomieszkania” ma znów syna, który nosząc nazwisko panięńskie matki, nie rozumie dlaczego rósł synem „po pierwszym mężu”. Mąż jest gdzieś w Warszawie, „rzucił” matkę swej córki. Nikt z mieszkańców suteryny w podwórku nie ma określonego zajęcia, prócz sublokatorów murarzy z Bilgoraja. Zajmują tzw. tapczany, oni są też jedynym źródłem dochodu właścicielki mieszkania. Obok w następnej suterynie mieszka „hrabina” właścicielka białego pieska z czerwona smyczką, bohaterka burzliwego życia, na którego margines wyrzucił ją podeszły wiek... Pobiera jakąś rentę od zamożnego właściciela wytwórni pudełek tekturowych i skromne zasilki od córki — artystki z kawiarni czy dancingu przy ul. Chmielnej. Do swych sąsiadów „hrabina” odnosi się z godnością wyższej sfery. Córka „hrabiny” ma swoje unormowane zajęcie, podczas gdy synek jej sąsiadki po ukończeniu szkoły powszechnej porzucił już kilkakrotnie praktykę rzemieślniczą, latem spędzając przedpołudnie na plaży, wieczory i nocę niewiedomo gdzie, jest dumą rodziny. Od czasu do czasu daje matce kilku złotych sumki, od czasu do czasu sprowadza do suteryny jakieś kobiety do „przenocowania”. Murarze z okolic Bilgoraja co tydzień piszą długie listy i wysyłają do swych rodzin zarobioną gotówkę, ze zdziwieniem patrząc na stosowane od czasu do czasu wyczyny młodzieńca.

„Z czego pan będzie żył?” — Młodzieniec wytrzeszcza oczy: „jako? W Warszawie?” Takich suteryn i takich jej mieszkańców jest setki np. przy ul. Solec, Dolnej, takich suteryn pełno na Starym Mieście, na Czerniakowie itd. Takich pełno w Krakowie, we Lwowie i w innych większych miastach. Jeśli ci murarze z Bilgoraja stanowią proletariatus, jako współmieszkańcy suteryn, to tamci są chyba lumpen-proletariatus, tym, który krzychał na murach starego Rzymu o chleb i igrzyska i po którym szła jak po wygodnym bruku jego ostateczna zagłada. Jednak lumpen-proletariatus nie stanowi śródka.

*) Patrz „Wieś” Nr Nr 10 (38), 11 (41), 14 (42), 18—19 (46—47), 21 (49), 26 (54).

Oto na parterze kamienicy przy ul. Cichej mieszka zecer, „ma dwa języki”, z żoną, teściową i dwójkiem dzieci. W oknach jego mieszkania za muślinowymi firankami płynie chyba spokojnie życie rodzinne... Tak. Dopóki zecer „ma dwa języki”, zarabia 700 zł mies. Nagle zecer znalazł się na bruku. Rok skromnych zasilków Ub. Społ. i pewnego ranka z poza szczelnie storami zakrytych okien słyhać niesamowite krzyki. Podwórko stanowiące pewną społeczność ustaliło, że żona zecera zabrawszy kosztowniejsze rzeczy i młodsze dziecko zbiegła, wiadomo nawet z kim, pozostawiając bezrobotnego męża i teściową w ogolonym mieszkaniu. Opinia podwórka sympatyzowała ze zbiegłą, której mąż nie dawał już utrzymania. Jedynie Bilgorajscy wyraźnie potępiali kobietę, wyrażając ubolewania nad zjawiskiem niezwykłym w ich „stronach”.

U nich, chociaż już nie są chłopami, zarówno mąż jak i żona wspólnie starać się muszą o utrzymanie. Toteż dla nich żona zecera jest tylko i niczym więcej jak „cma”, prostytutką, do wynajęcia itd. Między nimi, ludźmi pracy, a zecerem, mimo że też człowiek pracy, stoi mur pojęć.

On, zecer, po przejściu ataku nerwowego przyzna słuszność zbiegłej żonie i w rezultacie uzna swe niedołęstwo, „niezdolność” do dania „utrzymania” żonie. On i mieszkańcy wszystkich parterów, pięt i will i luksusowych mieszkań w nowoczesnych budynkach na Żoliborzu wiedzą o tym, że pierwszym obowiązkiem męża jest utrzymać żonę. To jest kwintesencja miejskości, to jest coś, co mimo emancypacji każe człowiekowi utrzymać człowieka na równi z kosztowną maszyną, człowieka-zabawkę, człowieka-dodatek do mieszkania, człowieka-kosztowność — żonę. Środowisko, które bezspornie reprezentuję nie chce tego uszczęśliwienia, takiej właśnie wyższej cywilizacji, nie chce i prawo staje po jego stronie (współczesne polskie prawo małżeńskie).

Józef Andrzej Frasiak

BALLADA

W izbie duszno, dwa zegary:
jeden powoli przemierza czas,
drugi głośno, jakby szydząc z nas,
dzwoni nocą, jak na czary.

A ten w oknie, we futrynie,
głuchy cieśla, kornik drzewny,
struże wórka, leca płewy,
deszcz za oknem, szemrze w rynnie.

Spojrzą w zegar — przemija —
późny czas za oknami, deszcz u szyb,
to zagłada z ogrodu biała szyja
brzoź, to wiatr traci w okno, to ćmy.

A ten w kącie dalej drąży,
żmudny cieśla struże drewna,
jęknie komar, mucha śpiwna,
zegar idzie wolno, zdąży...

Spojrzą w zegar, w drugi — utyka
czas za oknami — a wiatr przynosi
do okien czuby chochoła — słonecznika.
Ogród zamilkł już w wietrze. Deszcz coraz głośnief...

A ten dalej w drzewie skrzypi,
deski kraje cieśla głuchy —
w ucho tnie brzęczeniem muchy,
lato nikle, wąski lipiec.

A ten dalej drąży w oknie,
wolno skrobie, w drzewie kuje,
tylko ogród w ślaskwie moknie,
deszcz u okien, wnętrze pruje.

Pod powierzchnią, jak pod blichтром,
dzień i noc futrynę struże,
był dalej, był dłużej:
ciągnie dniem i nocą szycie.

A ja, urodzony w szumie, słyszę.
A ja sam.
Jak siekający w szyby wiatr,
już go nie zduszę w sobie nieczem.

To co z dniem 1 stycznia stało się prawnobowiązującym w obecnym państwie, na wsi obowiązuje od tysiąca lat, a może i znacznie więcej. Jak jednak prawo to dostosować do zwyczajów lumpen-proletariatus, to dla człowieka ze wsi jest tematem wielu dowcipów i drwin...

Jasną jest rzeczą, że ten bezkształtny proletariatus nie stanowi jeszcze o istocie miejskości (nie mieszczaństwa).

Miasta zamieszkuje przecież ludność pracująca: robotnicy fabryk i pracownicy instytucji najróżnorodniejszych, odpowiedni majstrowie i rzemieślnicy, urzędnicy, kupcy, uczeni itd. Tak! Ale tam, gdzie stanowią oni nawet większość, zawsze równocześnie panował (bo w przyszłości nie będzie), śmietnik ludzki, zbiorowisko nierobów, kombinatorów, interesów, zbiorowisko ludzkie, przedmiot zainteresowania i działalności opieki społecznej, instytucji charytatywnych (przedmiot, który w moim mniemaniu jest najbardziej konserwatywnym zbiorowiskiem i któremu każda ewolucja społeczna grozi zagładą).

Każdy anty-urbanista zna przede wszystkim tę część zbiorowości miejskiej i przed jej obyczajowymi wpływami broni wsi.

Każdy z nich zdaje sobie sprawę również z tego, że na ten śmietnik w dużej mierze daje ludzi właśnie wieś. Wszystko to możliwe było przy znanych przerosłach stroju kapitalistycznego. Znać to, anty-urbanista jest rewolucjonistą bardziej radykalnym od swych towarzyszy z miasta. Jego żądanie sięga głębiej i dalej. Nie jest konserwatywnym bronić rodziny i nie religijnie przesłanki nim powodują.

Wyjdźmy jednak z miasta na wieś, gdzie nie wszystko jest święte i nietykalne i nawet dla anty-urbanisty. Zmechanizowanie, elektryfikacja, uprzemysłowienie, to nie są wpływy, czy dobrodziejstwa świadczące wsi przez miasto. To są zdobycze całej ludzkości i ani Józwiak, ani Stodolny nie będzie bronił wsi przed motorem czy żarówką. Ich bardziej niż kogokolwiek kłują w oczy pół-kurze chaty, słomiane da-

chy, ich bardziej niż kogokolwiek razi w oczy istnienie wiejskiego proletariatus, tego, dla którego istnieje przednówek, emigracja, zarazy, epidemia, a do którego, jak dotychczas, nie dosięgały żadne filantropie. Oni to najlepiej wiedzą, że ten odłam wiejskiej społeczności, to ludzie którzy nie mieli dzieciństwa, najmitami będąc niemal od chwili, kiedy o własnych siłach stanęli na nogach.

Czas i idący z nim postęp zniwelują różnice między wsią a miastem. Ale pytanie, czy miasto ma być wzorem dla wsi, czy odwrotnie, jest śmieszne.

W dzisiejszym stanie rzeczy niwelacja różnic jest niemożliwa. Muszą się wytworzyć warunki do narośnięcia jednej wspólnej kultury narodowej, a warunki te formować będzie państwo, względnie jego prawa. Z dumą stwierdzamy, że jesteśmy na tej drodze, państwo dziś stwarza warunki do formowania się jednej wielkiej kultury narodowej. Państwo wzięło w obronę rodzinę, państwo zburzy wielkowiejskie śmietnisko ludzkie, nakładając powszechny obowiązek pracy, państwo wyzwoli proletariatus wiejski, realizując reformę rolną.

Jakie więc są zadania anty-urbanisty wobec swego środowiska? Proste! Przygotowywać grunt pod idące zmiany.

Zadanie to niespodziewanie łatwe, a chociaż brzmi to może paradoksalnie, przecież jednak tak jest. Chłop sam rwie się po prostu do tego. W miarę swych możliwości materialnych unowocześnia swój warsztat pracy, modernizuje mieszkanie, modyfikuje swą wieś, a jeśli broni się przed wpływem obyczajowych nowalistów, to dlatego przede wszystkim, że czuje ich zgniliznę i rozkład społeczny. Nienawidząc szlacheckości, nienawidzi również rozkładowych wpływów miasta (nie kultury proletariackiej, która jest w załączkach).

A jakie znaczenie ma regionalizm w znaczeniu gwary, stroju itp.? Musealne. Chłop światlejszy zarzuca gwarę, dziwi się zaś temu, że prócz cieplarnianego chronienia rodmuchuje się ją do niebywałego znaczenia i wyrabia się gwarom popularność przez tworzenie mitu Kercelaka w rodzaju Wiechowej literatury. Co zaś do strojów regionalnych, to utrzymały się te, które okazały się praktycznymi, jak np. góralskie portki niezastąpione w pewnych warunkach, ani przez „pumpy” turysty, ani przez pluszowe falbany modnych amerykańskich super szerokości. Inny strój regionalny jak płócnianka lub biała sukmana zaginęła, jako niepraktyczny lub zbyt drogi. Dzięki praktyczności strojem ludowym w górach staje się wojskowa bluza przy wąskich spodniach albo bryczesy w nizinach, zarówno w kielecczyźnie, jak i w lubelskim.

POROZUMIEMY SIĘ

Przy pomocy szczerych przede wszystkim słów, pragnę wszystkim, którzy zabrali w dyskusji głos oświadczyć, że droga do porozumienia się z anty-urbanistami będzie wtenczas prosta, jeśli zamiast gotowych recept i stawiania wzorów wziętych ze współczesności, stanie się wraz z nimi do szukania dróg wyjścia z manowców.

Bo i my przeczekujemy upadek kapitalizmu na jego śmietnikach i manowcach, a jeśli z jego podwórka nie chcemy przejść na inne cudze podwórko, lecz na własne, musimy je stworzyć.

Tymczasem zaś uważam, że dobrze jest, gdy prawo staje się obyczajem, albo gdy stosuje się do obyczaju.

To miałem na myśli, pisząc o starodawnych formach samopomocy.

W OSTATNIM 29 (57) NUMERZE „WSI”
Z DNIA 28 LIPCA 1946 R.

Leon Pokora — Głos na Konferencję Pokojową; S. L. — Przed 29 lipca; Włodzimierz Olszewski — Ida dziewczyny; Wanda Brzeska — Gospodarka niemiecka w Polsce 1939—1944; Maryla Swojska — Nasze dwory; Jan Aleksander Król — Abramowski (III); Jan Marszałek — Groźdzenie płotów; Józef Ożga-Michalski — Zakonnym koniem. Burza ostatnia; Stefan Liechański — O reportażu; Ignacy Kruk — Ludowładztwo w samorządzie; Józef Bieniek — Z krainy smetka...; Piotr Chmura — „Droga Wielowa”, 2 ilustracje, 8 stron.

